

O uniwersytetach i o artystach (rozłącznie)

Krzysztof Hoffmann

„Sprzeciw wobec Białej Księgi i zmiany rozkładu akcentów w dyskursie publicznym, których ta pierwsza jest zarówno odbiciem, jak i próbą poprowadzenia o krok dalej, tyleż nie oznacza woli porzucenia argumentacji ekonomicznej, co wskazuje na pewne, przypuszczalnie utopijne, lekceważenie kosztów służby publicznej, w tym oświaty. Podobnie jak wskazywanie na szkody, jakie najprawdopodobniej przyniesie przyswojenie przez uniwersytety modeli szkół biznesowych, modeli «konkurujących producentów» i «roszczeniowych konsumentów», nie ma dogadzać nostalgicznemu pragnieniu powrotu do o wiele mniejszego i bardziej selektywnego systemu wyższej edukacji sprzed 30 czy 40 lat [...]. Wręcz przeciwnie, winniśmy dążyć do upewnienia się, że ci, którzy we wciąż rosnących liczbach wkraczają na uniwersytety, nie zostaną oszukani w ich prawie do kształcenia, nie wciśnie się im (w imię «spełniania potrzeb pracodawców») wąskich specjalizacji [...], podczas gdy dzieci klasy uprzywilejowanej będą dalej uczęszczać na dysponujące odpowiednimi środkami uniwersytety, które dalej będą się szczyścić swymi lokatami w ogólnych rankingach. Nie ma nic wymyślnego, ani nieracjonalnego w sądach, że

owo wielkie społeczne dobro, jakim jest rozszerzona edukacja, może i powinno być szeroko, publicznie finansowane”.

Ten obszerny cytat nie pochodzi z (zgadujemy: niszowej?) broszury, pamfletu na dzisiejszą politykę rządu polskiego nie tylko wobec gwałtownego umasowienia edukacji, ale i stopniowego wprowadzania wolnorynkowych metod zarządzania jednostkami szkolnictwa wyższego. Stanowi kodę tekstu Stefana Colliniego, jaki pod przewodnim hasłem „Demontaż uniwersytetów” ukazał się w „London Review of Books” (25.08.2011). Ręczona Biała Księga została ogłoszona przez brytyjskie Ministerstwo ds. Biznesu, Innowacji i Umiejętności (Department for Business, Innovation and Skills), utworzone ze zrestrukturyzowania dwóch wcześniejszych ministerstw w roku 2009, tym samym, z którego pochodzi dokument. Collini, wykładowca z Cambridge, przeprowadza szczegółową analizę możliwych konsekwencji regulacji, ale wskazuje także na przesunięcie w ogólnej polityce dotyczącej szkolnictwa wyższego. Fakt, że jest ono zarządzane przez ministerstwo, które już samą swą nazwą wpisuje się w dominu- +

jący w dzisiejszym dyskursie politycznym żargon ekonomii wydajności, stawia uniwersytety w pozycji depozytariuszy myślenia o pracy akademickiej nie w kategoriach odkładanej w czasie cierplivej akumulacji oraz rekapitulacji wiedzy i kompetencji, lecz produkcji towarów odpowiadających doraźnym potrzebom społecznym. Esej z LRB, pomimo całych różnic w systemach oświaty, stanowi kontrpunkt dla debat toczących się aktualnie w Polsce, wskazujących na to, że być może dylematy lokalne trzeba włączyć w dyskusję globalną. Ich stawką jest nie tylko wypełnienie zobowiązań państwa wobec obywateli, ani tym bardziej wypełnienie ich na nieurągającym nikomu poziomie (to nadal język dominującego dyskursu), lecz jedna z fundatorskich zasad akademii – jej autonomia.

Nie jest to miejsce na referowanie spraw i tak co chwila przetaczających się przez środowiska akademickie i scenę publiczną, zatrzymuję się przy jednej. Bezpośrednim odpryskiem poruszanych problemów (tak w Polsce, jak i poza nią) jest tekst Tomasza Kozłowskiego z „Odry” (9/2011) Splagiator, zdać, zapamiętać. Kozłowski, socjolog z Poznania, analizuje tylko drobny wycinek poletka akademickiego, ale twierdzi – zresztą słusznie – że klęska na nim stanowi znamię o wiele głębszego problemu. Rzecz dotyczy nieautorskiego sposobu rozliczania się studentów ze swoich pisemnych zobowiązań: „Żniwo plagiatów, jak co roku, zarówno na uczelniach państwowych, jak i prywatnych, okazuje się przerażające, choć plaga ta nadal jeszcze jest dalece mniejsza niż na uczelniach amerykańskich”. Diagnoza biegnie dwutorowo. Z jednej strony, taki stan rzeczy jest powtórzeniem dzisiejszego modelu kultury (choć niczego to nie usprawiedliwia), z drugiej, jak można zrozumieć tekst, wynika z dopuszczenia do studiów osób do tego się nienadających.

Kultura, w której żyjemy, twierdzi autor, to „kultura kopiuj-wklej”, dla której cytat, aluzja, zapożyczenie, parafraza stanowią konstytutywne elementy składowe. W postmodernistycznej magmie tekstów rozróżnienie na stare i nowe jest mocno problematyczne, wszystko, co stałe, rozpływa się w powietrzu, a jedynym procesem twórczym, który może się legitymizować kompatybilnością z dominującym paradygmatem, jest przeróbka i przetworzenie. Taki stan rzeczy to po prostu „drugie imię postmodernistycznej popkultury”. Zgoda? Raczej nie. Po pierwsze, intertekstualność jako dominanta tekstu nie stanowi jedynej techniki twórczej. Spłaszczenie postmodernizmu (o ile faktycznie w nim żyjemy) do jednego wymiaru jest uproszczeniem, które pozwala jednym ruchem ręki pozamiatać bardzo różne sprawy. Obok modelu kultury pastiszowej funkcjonuje (fakt, że niekoniecznie niezależnie) model kultury krytycznej, w której akcent jest położony nie na prze-twórczość, ale na tropienie obszarów wykluczeń konstruowanych przez obowiązujące języki, sprawdzanie warunków produkcji sensu. Dlaczego jest to istotne w tym kontekście? Ponieważ – i to po drugie, ważniejsze – argumentacja Kozłowskiego ma siłę tylko o tyle, o ile się zgodzimy, że uniwersytety należą do elementu „postmodernistycznej popkultury”. Kwestia światopoglądu, ale zamiast utyskiwać na to, że możliwe są już tylko popnauka i popwiedza, uważam, że nadal można (i trzeba) się zastanawiać, w jaki sposób w zmienionych warunkach kultury uprawiać naukę i kultywować wiedzę. Po trzecie, i autor o tym wie, plagiat nie jest cytatem, ani tym bardziej artystycznym przetworzeniem, jest czerpaniem zysków z pracy kogoś innego, zwyczajną kradzieżą.

Zwłaszcza że socjolog odwołuje się do bardzo zachowawczego poglądu, w myśl którego szkolnictwo wyższe winno być „elitarne”,

„ekskluzywne”, nauka to dzieło, które rodzi się „w bólach przez wieki” przy udziale „zaledwie garstki”, posiadającej „nieprzeciętne zdolności”, a „dyplom uczelni wyższej zarezerwowany jest dla mniejszości”. Przy tak ustawionej optyce przyczyny pisania plagiatów są oczywiste, wynikają „z urynkowienia [...] i zdemokratyzowania [...] procesu edukacji”, zostają bowiem do tej grupy dopuszczone osoby niekompetentne, które dyplom chcą kupić. Dla Kozłowskiego argumentem koronnym jest tutaj rozkład przebiegający podług krzywej Gaussa – mało nieudaczników, mało geniuszy, wielu średniaków. I tak samo powinien wyglądać przekrój wykształcenia obywateli: trochę z podstawowym, garstka z wyższym, ogół ze średnim. Powinien, ale już dawno przestał i musimy sobie jakoś radzić... Zgoda? Absolutny jej brak.

Nie sposób dać wyczerpujący odpór, sprawa bowiem dotyka rudymentów, zatem w formie – niewystarczającego – trzypunktowego skrótu. Po pierwsze, umieszczanie środka krzywej Gaussa na etapie kształcenia średniego jest arbitralną decyzją autora. Masowa edukacja wyższa nie opiera się na założeniu, że trzeba „ślepe masy” udoskonalić poprzez dopuszczenie do zastrzeżonych tajników nauki, ale (między innymi) na tym, że trzeba obywateli kształcić, to jest formować ich podmiotowość. Do samodzielności. Szczyt krzywej przebiega dziś gdzie indziej i jest to osiągnięcie, nie porażka. Po drugie, argumentacja oparta tylko i wyłącznie na krzywej dzwonowej (inna nazwa krzywej Gaussa) nie zawsze jest fortunna, jak pokazały to losy książki Herrnsteina i Murraya opublikowanej pod tym właśnie tytułem. Po trzecie, takie myślenie zakłada skupienie władzy w rękach oligarchów wiedzy i technokratów, gromadzenie kapitału wiedzy w rękach warstwy posiadającej, a sam Kozłowski nie pokazuje, dlaczego miałoby się nam dzięki temu żyć lepiej.

I tutaj upatruję najważniejszego problemu. Autor twierdzi: „Nie jestem przeciwnikiem społeczeństwa równych szans, jestem za to zwolennikiem rozsądku”. Na czym by miał on polegać? Kozłowski sam nie ma żadnego programu, pisze bowiem, że „rozsądek zatriumfuje. Krzywa Gaussa powróci prędzej czy później do swego właściwego kształtu i obecnie panujące standardy wrócą do swoich określonych poziomów. Plagiat zostanie w odpowiedni – nie wiem jednak jaki – sposób zweryfikowany”. Podpowiem. Weryfikacja plagiatu wymaga tylko odpowiednich narzędzi. Mogą nimi być zarządzane przez firmy trzecie bazy danych centralnie gromadzące teksty naukowe i prace studenckie, a po przyjęciu zlecenia wykazujące „zgodność” nowego tekstu z materiałami z bazy. Takie metody są skuteczne i wystarczające, jak pokazuje przykład Szwecji. Ale rzecz w czym innym – w samej idei uniwersytetu, który dla autora ani nie jest wspólnotą, ani nie jest zdolny do samodzielnego decydowania o swoim kształcie poprzez autorefleksję. Plagiaty nie są przestępstwem popełnianym tylko przez studentów. Tak samo dotyczą – jak coraz częściej się o tym przekonujemy – pracowników akademii, o czym nie pada ani jedno słowo. Metody walki z nimi winny być takie same wobec wszystkich i tak samo bezwzględne. Ale nie w myśl wykładni podsuwanej przez Kozłowskiego, który utrzymuje, że „obok postulatu równych szans szkolnictwo wyższe winno wryć złotą czcionką w sercu pamiętne hasło, notabene niegdysiejszego ministra edukacji: «zero tolerancji»”. Wprowadzenie ideologii „zero tolerancji” byłoby końcem uniwersytetu w jego wielowiekowej tradycji, na którą się autor powołuje – to nie jest przestrzeń do uprawiania polityki policyjnej, lecz do wspólną drogą osiąganego przekonania jej uczestników, że oszustwo nie leży w niczym interesie. Wiara, że coś samosterownie „powróci prędzej czy później do swego właściwe- +

go kształtu”, jest permissywnym intelektualnym kwietyzmem. Zamiast powtarzać za anegdotą najstarszy odcyfrowany hieroglif – „zboże coraz droższe, młodzież coraz gorsza” – lepiej spojrzeć na własne ręce, pytając, co można nimi zrobić.

Przykładem, że autorefleksyjna struktura może dążyć do zmiany, jest chociażby biegnące w poprzek feudalnych hierarchii akademickich redagowane kolektywnie czasopismo „Edu-factory” (do odnalezienia na stronach www.ha.art.pl). Jak można by się domyślić z samej nazwy tylko, źródłem analizy jest obserwacja, że szkolnictwo wyższe przemienia się w fabrykę, zostaje podporządkowane językowi neoliberalnej ekonomii produkcji. I jest to miejsce na zainstalowanie punktów oporu, chociażby poprzez uwagi zogniskowane na technikach pomiaru, które „reprodukuje [się] gwałtownie poprzez logikę kopiuj/wklej stosowaną na gruncie transferów ustaw i polityk” (w przekładzie K. Szadkowskiego). Wskazują tylko, że już sama retoryka „Edu-factory” stanowi możliwą odpowiedź na tekst Kozłowskiego.

♦

Pozostaję przy „Odrze”, zmieniam temat. Sergiusz Sterna-Wachowiak we wrześniu raczy nas Scenami z życia codziennego artystów, i to podwójnie – w „Odrze” i w „Twórczości”. Życie artystów jest zawsze ciekawe (choć jak pokazują notatki – czasami takie tylko nam się zdaje), ale zbiór opatrzonych dziennymi datami facecji, anegdot, dykteryjek i plotek można wszak co najwyżej odnotować, ciężko skomentować, formy takie wyczerpują się najczęściej w samym geście narracji. Niemniej koledzy z redakcji CzK zwracają moją uwagę właśnie na wybór z „Odry”, opatrzonej podtytułem Miłosz i teje postaci tylko poświęcony. W zapisku

datowanym na 14 VI 1996 Sterna-Wachowiak opisuje przygotowania do wizyty Czesława Miłosza w Poznaniu i rozmowę telefoniczną z noblistą, w której – o radości! – odnotowany zostaje „Czas Kultury”. Miłosz okazuje się postacią nadzwyczaj chroniącą swój czas i prywatność, „nie chce się spotkać [...], nie może zjeść obiadu [...], wolałby trzymać się z dala [...], nie należy kontaktować go z [...]”. Również „nie spotka się z redaktorami «Czasu Kultury», którzy obrazili Kościół i Herberta”. Sporo czasu spędzi zamiast tego ze Sterną-Wachowiakiem; oczywiście.

Dociekliwość nakazuje się chwilę zastanowić. Biograf Miłosza, Andrzej Franaszek, w swojej monumentalnej biografii (Nagroda Kościelskich 2011) pisze, że nie rości sobie prawa do kompletności dzieła, że jeszcze sporo faktów z pewnością ujrzy światło dzienne. Bardzo możliwe, że redakcja CzK obraziła w 1996 roku (a może wcześniej?) nie tylko Kościół i Herberta, ale także parę innych ważnych postaci i instytucji, tylko czy właśnie dlatego obraził się na nią Miłosz? Relacje noblisty z Herbertem i Kościołem to fakty znane. Spór autora To z Herbertem zaczął się około 1967 roku, doprowadził do podpitej awantury w Kalifornii w 1968 i w stanie zdystansowanego zainteresowania trwał aż do słynnej konsyliacyjnej rozmowy telefonicznej poetów w maju 1998 (dzwonił Miłosz; Herbert zmarł w lipcu). Jego dowodem jest wiersz Herberta Chodasiewicza z tomu Rovigo (1992), który autor Rodzinnej Europy kwitował w liście do Barańczaka: „to jest pierwszy dowód wtargnięcia obłądu do jego poezji” (Franaszek, s. 721). Podobnie rzecz się miała z Kościołem, z którym to wadził się, to flirtował – powiedzmy, żeby zawęzić pole do lat 90. – od szkicu Państwo wyznaniowe („Gazeta Wyborcza”, 11.05.1991) do tomu Druga przestrzeń (2002), gdzie pisał: „W sam raz dla mnie wędrowanie po obrze-

zach herezji. // Żeby uniknąć tego, co nazywają spokojem wiary, / a co jest po prostu samozadowoleniem”. Z Kościołem Miłosz pogodził się również na parę miesięcy przed śmiercią; tym razem własną.

Ponieważ informacja od Sterny-Wachowiaka jest nadzwyczaj eliptyczna, rodzi się chęć, by dopytać: czy i w jaki sposób redakcja CzK zniesławiła Kościoła i Herberta? Jeśli tak było, to czy właśnie o to miał żal Miłosz? Wreszcie czy faktycznie wielki poeta był tak wielki, że rościł sobie wyłączne prawo do prowadzenia sporów? Na te pytania odpowiedzi zna tylko autor przywołanej notatki...

♦

(Jednym zdaniem). Skoro o Miłoszu było, w „Toposie” (4/2011) nowy przekład Jeruzalem Blake’a autorstwa Elizy Borkowskiej (dziewięć pierwszych tablic i początek dziesiątej). W „Lampie” (9/2011) bardzo ciekawy debiut prozatorski Ady Altmeier Długi weekend. Ukrainofile niech sięgną po „Strony” (3-4/2011). „Tygiel Kultury” w roku 2011 świętuje 15 lat pisma oraz utrzymanie się na powierzchni pomimo dziury w kałużbie, jaką uczyniło ucięcie dotacji z ministerstwa. „Format” też ma mały jubileusz (60. numer), z tej okazji na stronie 19. zamieszcza rzadki (oraz parę pospolitych) okaz redaktorskiego chochlika, prawdziwe cymelium niedbałości, i jeden z najbardziej znanych wierszy Adama Zagajewskiego (naszego wieloletniego faworyta w walce o Nagrodę Nobla) podpisuje nazwiskiem Zbigniewa Rybczyńskiego (zdobywcy Oscara za animację).

●

Pamflet na wszystkich ludzi (5)

Edward Pasewicz

Małpiałki, pawiany, szympansy – pomyślał mężczyzna, patrząc na młodzież tłoczącą się przy barze w klubie Cocon – a ja jestem gorylem. Usiadł ciężko na stoliku barowym i powiedziało do Barmana:

– Jakieś piwo dla goryla.

– Proszę bardzo – powiedział rudy Barman i pomyślał, że ten śliczny chłopiec, który przyszedł tutaj z mężczyzną, musi mieć nierówno pod sufitem.

Wpatruje się w niego – myślał rudy Barman – jak w bóstwo. Jest czwartek, karaoke, on zawsze przyłazi w czwartek, siada i patrzy. Rudy Barman nalał piwo mężczyźnie i znacząco spojrzął na pana Filipa Malewskiego.

– A on? – zapytał.

– On – mężczyzna ciężko odwrócił się i spojrzął na swojego uśmiechniętego towarzysza – on, proszę pana, nie istnieje, to tylko moja halucynacja.

– To dlaczego ja go widzę? – zapytał trzeźwo rudy Barman.

– Nie mam pojęcia, ale na pewno jest jakieś racjonalne wytłumaczenie.

+